

Andrzej Graffstein

część II z II

Sygnatura notacji: **N1599**

Data urodzenia: **26.11.1926 r.**

Data nagrania: **15.10.2021 r.**

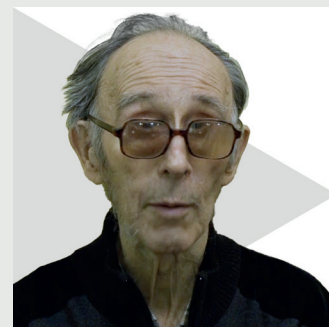
Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa Polska**

Prowadzący rozmowę: **Tomasz Sikorski, Julia Krajewska**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 63 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Andrzej Graffstein: Nie wiem, czy państwo wiedzą, co to są... Zaraz sobie przypomnę. Bo Niemcy zrobili taką rzecz, z okolic Zamościa wyrzucili Polaków i sprowadzili baltendeutsche'ów tak zwanych, czyli Niemców mieszkających nad Bałtykiem, którzy mieli stanowić teraz cel niemiecki. Nazywali ich baltendeutsche'ami. Więc oni zostawili całą tę górę, tak, że nie można było już jechać. Po lewej stronie nie wolno było jechać i myśmy zostali z tyłu na końcu, co tu robić. Ale nasi, można powiedzieć Niemcy, to znaczy ten młynarz i jego ten krewny, i mój ojciec poszli na górę gadać z Niemcami. Niemcy się zgodzili o dziwo przepuścić nas lewą stroną, więc jechaliśmy naszym wozem po lewej stronie, stanęliśmy po prawej i teraz chcemy jechać dalej, ale okazuje się, że to był [niezrozumiałe, 00:01:17] z góry na dół. Co z tym koniem. Więc postaraliśmy się o drewno, duże jakieś kawałki drewna kazaliśmy włożyć w szprychę, żeby się koło otarło i obracało się. Jechaliśmy w końcu na dół, jedziemy spokojnie dalej, tu nagle krzyk, czołgi rosyjskie. Więc dwie te rakiety niemieckie przejechały, potem dwa czołgi niemieckie przejechały, trzeba uciekać. Była możliwość skręcić w lewo do wsi. Skręciliśmy w lewo do wsi, pojechaliśmy. Tym razem muszę ojca mojego pochwalić, bo on skręcił w lewo. Człowiek, który mieszkał obok nas swego czasu przed spalaniem całej tej ulicy, on miał konia, wóz, żonę i dziecko. Tak się pospieszył, że skręcając, przewrócił ten wóz, koń upadł, to on porwał dzieciaka, z żoną pobiegli piechotą do wsi. Ojciec nie pobiegł, postawił wóz na koła, [niezrozumiałe, 00:02:23] postawił konia na nogi, wsiadł do wozu i przywiózł im ten wóz. Strasznie mu dziękowali, że taki dobry uczynek zrobił. Tymczasem do wsi przyjechali Rosjanie, rosyjskie samochody z benzyną i tak jeszcze inne, zaczęli szukać, czego, łódki. Znaleźli łódkę, popili się okrutnie. I tam się pokładli, myśmy też się położyli spać, pospaliśmy się, niczego nam szczęśliwie nie ukradli. Po dwóch dniach ten młynarz pyta: „Jedziemy dalej?”. Racja, jedziemy dalej. Ale niestety most był w Kole czy w Koninie był spalony. Więc trzeba było wjechać dookoła, objechaliśmy, jechaliśmy tam i jedziemy

dalej, a tu podchodzą do nas dwaj Rosjanie i mówią: „Chcemy zamienić konia waszego na naszego”. Przyprowadzili swoją chabetę, zabrali i poszli. Chabeta jakoś tam ciągnie. Daleko nie ujechaliśmy, [niezrozumiałe, 00:03:34] zmienić konie. Przyprowadzili jeszcze gorszą chabetę, ale jeszcze ciągnął. Potem przyprowadzili dwa kałmuckie takie małe koniki, zmienić tego konia, zmienionego dwa razy, na te kałmuckie małe koniki. Przyczepili tamte, zabrali tego konia, a one ciągnąc nie chcą. A ten młynarz był tresowany, brał bat, wsadzał koniom pod ogon i wtedy szły. Jechaliśmy kawałek jeden, drugi, wreszcie wjeżdżamy do miasteczka, nie pamiętam, jak się nazywało. To było miasteczko, które było po drugiej stronie, było drugie miasteczko i tam był podział na część rosyjską i niemiecką. Była dziesiąta godzina wieczorem, trzeba szukać kwatery. Poszedł młynarz ze swoim przyjacielem, nic nie załatwili. Wszędzie ich wyganiali. To matka moja mówi: „To ja pójdę”. Poszła ze mną, tak samo wyganiali i też nic nie załatwiła. Wraca zła, ale biegnie za nami jakaś kobieta i podbiega do nas, i mówi: „Pani nam tak powiedziała, że nam w piąty poszło. Damy wam nasz dom”. Pojechaliśmy tam, przespaliśmy się tam, resztki jedzenia były, napaliliśmy w piecu, porządnie się przespaliśmy i następnego dnia ruszyliśmy dalej. Dojechaliśmy do Wrześni. Tu już Niemcy puciekali, Rosjanie wyjeżdżali i tam zostaliśmy w tej Wrześni. No, co mogę dodatkowo powiedzieć, ten młynarz po tygodniu zabrał swój wóz, swoje graty i pojechał do Poznania, a w Poznaniu tymczasem były ciężkie walki, bo tam były głębokie rowy i głębokie piwnice. Była też radiostacja w Poznaniu i Rosjanie usiłowali zdobyć ten Poznań, a Niemcy się dzielnie bronili Rosjanie robili na przykład takie numery, że wypędzali mieszkańców z domów i oni szli przodem, a za nimi szli Rosjanie, tak że ci Polacy byli ochroną dla Rosjan. W końcu skończyło się na tym, że Rosjanie Niemców wypędzili. Więc myśmy postanowili, że będziemy pomału też udać się do Poznania. I przejechaliśmy jeden odcinek. Ojciec spotkał znajomego jakiegoś. Ten nas przyjął, a dalej nie było czym jechać, bo byliśmy trzy dni, jedziemy dalej. Znowu ojciec spotyka znajomego, znów nas przyjmuje. I takich odcinków było ze cztery. W końcu dojechaliśmy do granicy Poznania, tam zaczął chodzić autobus, wsiedliśmy w ten autobus, dojechaliśmy do Poznania. Ja się tam pochorowałem ciężko, dużo nie brakowało, bym wykitował. Ale jakoś przeżyłem. Ruszyliśmy dalej już do Śródmieścia, ojciec znowu spotyka znajomych, znajomego aptekarza. „Wiesz co, u mnie jest miejsce, chodź do mnie”. To dał nam mieszkanie na piętrze, a na piętrze była straszliwa ilość pluskiew. Ojciec się potem postarał o DDT, wytruli te pluskwy, ale nie DDT, tylko inną trucizną, o której dużo gadać, a mało słuchać. Wytruli wszystko i myśmy tam zamieszkali. Po pewnym czasie ten aptekarz spotkał swojego kolegę, który dźwigał, ojciec miał człowieka, który mu dźwigał pieniądze. Olbrzymią ilość pieniędzy, nie wiadomo od kogo zdobytych. Z tym młynarzem się... Z tym, nie młynarzem, tylko aptekarzem się dogadał, oddał temu z tymi pieniędzmi aptekę sam się wyniósł. A myśmy dostali wtedy z góry dół i zamieszkaliśmy na dole. Teraz ojciec dostał pracę w szpitalu i tam sobie jeździł codziennie do szpitala. To był szpital miejski. I teraz opowiem wam numer, który się zdarzył, żebyście się trochę pośmiali. W pewnym momencie przywożę do tego szpitala miejskiego jakiegoś człowieka mocno poturbowanego, który nic nie mówił w ogóle, spięty jest cały taki. Gdzie go postać? Na internę do ojca. Posłali go na internę, a ojciec poszedł do swojego biura i pisał jakieś sprawozdanie, które mu dyrektor nakazał, koniecznie musieli napisać. Ten człowiek leżał, był bardzo poturbowany, wreszcie zaczął coś mówić, próbowali do niego się odzywać, ale próbowali tak po angielsku, po francusku, po niemiecku, po rosyjsku i po węgiersku. Nikt nie rozumiał tego człowieka. Nic, za cholerę. Wreszcie jemu się znudziło i zaczął krzyczeć. To zrobił zamieszanie na oddziale. Zastępca ojca, który tam prowadził wszystko, poszedł do ojca, żeby go wyciągnąć z tego pisania. Ojciec zrozumiał, że trzeba iść, ubrał się w odpowiedni fartuch, włożył słuchawki i idzie. Im bliżej jest tego miejsca, gdzie ten wrzeszczy, tym bardziej staje i słucha. Wreszcie wszedł na tę salę, wziął sobie stołek, postawił koło tego wrzeszczącego, usiadł i zaczęli rozmawiać. Okazuje się, że ojciec znał język

tego człowieka. Wielkie zdziwienie, a tam wydał zarządzenia, badanie, całego go opatrzył, zbadał i wreszcie powiedział: „Ja muszę iść przecież. Muszę skończyć pisanie i tak dalej”. Wyszedł z tego, ten zastępca ojca idzie za ojcem i pyta się już tak, bardzo był grzeczny, mówi: „Panie profesorze, w jakim języku rozmawialiście?” Ojciec mówi: „Po grecku, kochanie”. I wtedy wszyscy zbaranieli. Przecież nikt nie znał greckiego, a ojciec jak chodził do szkoły, to musiał uczyć się łaciny i greki. Stąd grekę znał. Zabawa była na 24 fajerki, potem sprowadzili jakiegoś człowieka znającego grecki i się uspokoiło w szpitalu. Ale zabawa była piękna. Wrzaski, wrzaski i nikt nic nie słyszy. Zaraz, co było dalej. Przejdę tak trochę życia mojego. Teraz ja postanowiłem, że będę studiował na mechanicznym w Gdańsku. Politechnika nie była jeszcze czynna, było wszystko porozwalane, poroznoszone, zniszczone. Nie było po co. Studia zacząć się miały za rok. Przed tym miał być egzamin, kto zda egzamin, kogo przyjmą, będzie studiował, a kto nie zda egzaminu, to fora ze dwora, niech se robi, co chce. Ja poszedłem studiować na uniwersytecie fizykę, bo to jest najbardziej zbliżone do mechanicznego. Zimno było jak cholera, bo były nieogrzewane pokoje. Szukałem takiej grubszej dziewczyny, siadałem koło niej, bo było cieplej. Dużo się nauczyłem. W końcu matka porozumiała się z krewnymi, w Sopocie dali mi miejsce, pojechałem zdawać egzamin. Teraz była duma. Ci, którzy nam udzielili kwatery, mieli znajomości na politechnice i posłali człowieka, który sprawdził, czy mnie przyjęto, czy nie. Ale ten człowiek pracował na stoczni, trzeba się było dowiedzieć. Dzwonię na stocznię do niego, chory. No, już nakląłem tak brzydko, że gorzej nie można, ale myślę sobie, przecież może on ma w domu telefon, okazuje się, że ma. Dzwonię do niego, tak, on jest przyjęty. No, to ja graty w kubeł, w pociąg i do rodziców. Co im będę miejsce zajmował. Tam były dziwne sytuacje, bo tam mieszkała ta moja ciotka, potem mieszkała jej córka i jej mąż, który był człowiekiem ze wsi i był partyjnym, i to, co partia mu kazała, to on robił. W końcu partia dała mu ten domek, gdzie ja tam siedziałem i on już był właścicielem tego domku, i wtedy się dopiero zaczęło jak przyjechali. Ale ja już byłem daleko od tego, bo przyjechałem na termin, zacząłem studia. Ale tutaj dostałem tak w kość, jak w życiu jeszcze nigdy. Mianowicie zaczęło się od tego, że kazali robić rysunki na kalce tuszem. Ja w ogóle nie wiedziałem, co to jest tusz. Więc kupiłem sobie tego tuszu, kupiłem buteleczki, kupiłem element, z którego się rysuje, rysowałem, oczywiście źle, trzeba było drapać, to zdrapałem, to było mechate. Kolega mi powiedział: „Wiesz co, kup sobie afunu. Co zdrapiesz, to potem afunem posmarujesz i będzie dobrze”. I tak robiłem. A to był kolega, który kreślił dla Niemców w czasie wojny, więc on się znał na tym. Więc ja zrobiłem pierwszy rok tych rysunków. Na drugim roku już pozwalali rysować ołówkiem, było lepiej. Na trzecim było jeszcze lepiej, bo się robiło konstrukcje. I wtedy dopiero zobaczyłem smaka tej pracy konstruktora. Teraz zaczęły się dziwne przechery. Mianowicie na czwartym roku była termodynamika. Dosyć trudna wiedza. Profesor, który to wykladał, wykladał to inaczej niż wykładano przed wojną na Politechnice. Więc koledzy, którzy mieli książki przedwojenne, nie mieli z tego pożytku. On używał innych sformułowań i innych określeń, innych słów nawet, a ja słuchałem tego, bo nie miałem co innego, innego wyjścia nie miałem. Wysłuchałem dobrze, przyszło do egzaminu, zdałem na czwórkę i zaproponowali mi pracę w tym zakładzie. Teraz powiem wam powód do śmiechu. Mianowicie dali mi aparat Orsata, który jest zrobiony w ten sposób, że na końcu są cztery kondomy zawieszone i one były już zużyte i kazali mi kupić nowe. Musiałem pójść do apteki, zamówić cztery nowe kondomy, zapłacić rachunek i tak zrobiłem. Śmiechu była kupa tam w tej aptece. Cztery takie, co ja zamawiam, zamówiłem. Założyłem i potem byłem asystentem, lałem studentów niemiłosiernie, bo nie uważali. To była taka sytuacja. Aparat tak zwany Orsata i trzeba było w odpowiednim momencie zamknąć kurek. Ten kurek zamykało się w ten sposób, że naciskało się po prostu wąż. A koledzy robili tak, że przekreślali kurek i nie zdążali zamknąć na pole. Niektóry robił w ten sposób, dostawał dwóję, musiał przyjść drugi raz, a czekałem, wszyscy elektrycy robili od razu dobrze. Ja przepracowałem

tam pół roku, po pół roku przychodzi pismo z ministerstwa, że oni nie mogą wyrazić zgody na moją pracę. Wylali mnie, trudno. Szło coraz dalej. Ja robiłem coraz większe postępy. W końcu dali mi temat pracy dyplomowej i koledzy mówią: „Słuchaj, nie bądź głupi. Idź do magazynu tych na Politechnice, poszukaj takiego samego dokładnie tematu. To znaczy ciśnienia takiego samego, to znaczy obrotów takich samych”. Moim projektem była turbina, więc obrotów turbiny, ciśnienia takiego samego i jeszcze coś trzeciego. „Jak to znajdziesz to poproś, żeby ci to pożyczili, przekopiujesz i będziesz miał robotę z głowy”. Ja tak zrobiłem. Przekopiowałem i dałem, a zrobiłem tam jeden błąd. Do czego mi się przyczepili potem na egzaminie końcowym. I kazali mi jeszcze zrobić rysunek regulatora obrotów. Pojechałem do Śródmieścia w Gdańsku, do elektrowni i oni musieli mieć regulator obrotu. Mieli, potem pożyczili mi go, ja go skopiowałem, miałem regulator obrotu. Było z głowy. W końcu doszło do egzaminu końcowego, wtedy wywlekli mi ten błąd pierwszy po trzecim roku, że jednej rzeczy nie zauważyłem i bardzo podobny błąd mi wywalił. W pracy dyplomowej też wywlekli. Zastanawiali się potem, jak się dowiedziałem, czy mi dać magistra, czy mi nie dać. A ponieważ miałem bardzo dobre wyniki egzaminów poszczególne przedmioty, to mi darowali. Dostałem tego magistra. I teraz trzeba jeszcze jedną rzecz powiedzieć, nie wiem, czy państwo wiedzą. Zrobiliśmy studia darmowe, trzeba było dopłacić, w jaki sposób. Po skończeniu studiów trzeba było trzy lata odpracować tam, gdzie rząd kazał. Wszystko jedno gdzie. To mogła być fabryczka w pipidowie, to mogła być wielka fabryka gdzieś tam w Gdańsku, w Gdyni czy jeszcze gdzie indziej. Więc ja dostałem... Jak ja tam robiłem? Aha, dostałem wynik, że to był oczywiście ten dokument, że mam tego inżyniera magistra. I teraz trzeba było sobie poszukać posady niekoniecznie tam, gdzie mi każą. Ja poszedłem na stocznię, bo wiedziałem, że tam przyklepią i zostaną. Dostałem stanowisko kierownika działu spawalniczego. Bardzo źle uczono spawalnictwa, więc ja niewiele umiałem, ale dali mi jako podopiecznych jednego technika, który się znał na spawalnictwie elektrycznym i drugiego, który znał się na spawalnictwie gazowym. Więc ja, jak przyszedłem tam, temu od elektrycznego powiedziałem: „Człowieku, nauczysz mnie spawać elektrycznie?” „No, przyniesiesz elektrodę, wszystko, co trzeba”, on mi pokazał, jak się spawa i nauczyłem się. I tu bardzo wiele rzeczy, kareta, która tu jest, spawana przeze mnie. Elektrycznie spawałem. Tak że to się bardzo mi przydała ta umiejętność. I w końcu wyszedł jeden numer. Mianowicie mój poprzednik kupił, zanim kupił, to jeszcze powiem co innego, pokład jest pokryty dechami. Pokład okrętu. Deskami jest pokryty. Więc tej deski nie można było przecież położyć na pokładzie, bo pierwsza fala podniesie dechy, wyniesie pod wodę i koniec. Więc trzeba było te dechy przymocować. Mocowało się w ten sposób, że przyspawywało się śruby do pokładu. Znaczący przychodził jeden spawacz, przychodził drugi pomocnik, trzymał tę śrubę za łeb, a tamten chodził dookoła i obspawывał. To było dużo pracy, a mało pożytku, więc ten mój poprzednik kupił w Szwecji takie elementy, wyglądały jak pistolet do wiertarki. Wkładało się w śrubę, stawiało się w tym miejscu, gdzie miało być, naciskało się na przycisk, śruba schodziła na dół, robiła zwarcie, powstawał łuk, potem puszczało się i było przyspawane. Ale był jeszcze jeden warunek, mianowicie trzeba było na miejscu, na tej śrubie położyć nie aluminiowy, tylko porcelanowy pierścionelek. Tak jak tu są w tym takie pierścionki. Trzeba było taki pierścionelek położyć na środku, na tym dopiero postawić tę śrubę z tych pistoletów i wtedy spawało pięknie. Jak się nie położyło tego pierścionka, to przechodził ozon i azot, i nie trzymało tej śruby. Pierścionki były konieczne. A on był gapa, nie kupił dostatecznej ilości pierścionków, trzeba było potem kupować. Miał awantury z tego powodu, że trzeba dewizy wydawać, żeby jego urodzenie. I on sobie, tak myślę, jeszcze powiem jedną rzecz, Od niejakiego czasu, nurty, czyli boki okrętu były mniej emitowane jak kiedyś za angielskich czasów, tylko były spawane. Okazuje się, myśmy kupili radziecką spawarkę, ta radziecka spawarka była kupiona przez Rosjan od Amerykanów. To było coś niewyobrażalnie wspaniale pracującego. Tak schodziły się te blachy, to było wycięcie,

jedno wycięcie, drugie, tak że była szpara między tym i teraz przynosiło się kolejkę dziecinną, kładło się szyny wzdłuż tego toru, na tym stawiało się taką zabawkę dziecinną, taki pociąg, który miał nawinięty drut spawalniczy, musiał być odpowiedniego rodzaju oczywiście drut. Z byle „G” zrobiony być nie mógł. I teraz uruchamiało się to do pracy. Ten drut wychodził, dotykał spoin tutaj, to się topiło i robiła się taka smuga stopionego żelastwa. Teraz to nie mogło być na powietrzu, więc sypało się radziecki proszek. Proszek był genialny. A dlaczego, zaraz powiem. Więc ten pociąg sobie szedł, człowiek, który tego pilnował, stał przy tym i patrzył, czy to równo jedzie, czy dobrze jedzie, dostatecznie prędko, nie za prędko, tam przeregulowywał, co trzeba i jak to dojechało do końca, to okazuje się, że był odwrotnie niż w normalnym spawaniu. W normalnym spawaniu są tak [niezrozumiałe, 00:23:42] Tak to się spawa, to na końcu te płyty się... One się rozchodzą. I teraz jeżeli się zespawało dwie płyty, to na końcu rozłało się. Trzeba było to połączyć. Natomiast tu w tym amerykańskim te płyty się schłodziły. Właziły jedna na drugą i był duży kłopot, żeby to prawidłowo zestawić. Kombinowali na różne sposoby i wreszcie wykombinowali, jak to zrobić. Odpowiednie odległości i takie rzeczy. To pracowało, ja już miałem umowę. I teraz wracamy do tych śrub. Myślę sobie, jeżeli ten proszek radziecki jest taki genialny, tak świetnie chroni przy spawaniu tę spoinę, to dlaczego nie mamy do tych śrub użyć radzieckiego proszku. Użyłem, świetnie, działa. To doskonale, niepotrzebne są pierścionki. Potrzebny jest radziecki proszek. Dostałem za to, jak to się nazywało, kurczę blade.

Tomasz Sikorski: Nagroda, stypendium?

Andrzej Graffstein: Nie, nie nagroda. Niżej.

Tomasz Sikorski: Pochwałę.

Andrzej Graffstein: Nie, wyżej. To robotnicy robili takie usprawnienie, ale to miało swoją nazwę. Więc ja dostałem też tę nazwę, ale myślę sobie...

Tomasz Sikorski: Racjonalizacja.

Andrzej Graffstein: Nie. To inaczej się nazywało, ale blisko tego. W każdym razie jeden z moich pracowników, zresztą Niemiec, który był elektryk, zrobił taki zbiorniczek, do którego był nasypyany ten proszek, wysuwało się szybelkę i proszek się sypał w momencie, kiedy się te śruby spawały. Więc ja dałem 50% temu, który zrobił ten pojemnik. Myślę sobie: „Dobrze jest człowieka prymitywnego odsmarować” Nie leciałem znowu na wielkie pieniądze, dostałem 500 złotych za to. Książeczkę PKO, w której było napisane, chyba racjonalizacja się nazywało. Dostałem tę książeczkę, te pieniądze, tamten też dostał, zadowolony. Teraz była taka rzecz, o której warto powiedzieć. Opowiadam wam w pewnym sensie historię stoczni. Była taka rzecz, myśmy robili chyba dwa, jeżeli nie trzy okręty dla Związku Radzieckiego. Robiliśmy nawet taką rzecz, że kupiliśmy pewne rzeczy, które były za dywizy kupowane i budowaliśmy to, bo to było potrzebne. I myśmy te dywizy dali z polskich pieniędzy. Ale budowaliśmy za wolno. Rosji plan to jest świętość. Planu nie wykonywaliśmy. Więc Rosjanie mieli tam takich swoich, którzy pomagali nam, jeśli chodzi o pewne sprawy. Ja nawet byłem u takiego jednego. Nie pamiętam, o co mi chodziło. Na przykład taka rzecz, oni mi dali zarządzenie, że jeżeli jest zimniej niż 15 stopni, to spawać nie wolno. Ja poszedłem do takiego magika, coś tam

chciałem od niego się dowiedzieć. W końcu on nie bardzo wiedział, o co chodzi i mówi do mnie tak: [niezrozumiałe, 00:27:27] Jak mi to powiedział, myślę sobie: „Mam do czynienia z głupkiem”. Nie ma co do niego chodzić, bo się niczego mądrego nie dowiem. Więc teraz wracamy do tego. Myśmy nie wykonywali planów budowy statków dla Rosjan. Rosjanie się strasznie o to złości i zapowiedzieli dyrekcji, że ma coś z tym zrobić. Dyrekcja wpadła na pomysł, podwyższyli pensję. I bardzo wyraźnie podwyższyli pensję. Ja się postarałem, żeby tych dwóch moich, którzy tam mi pokazywali, uczyli, to samo też dostali. Bardzo byli zadowoleni i koniecznie pójdziemy na [niezrozumiałe, 00:28:12] zmusili mnie, żebym poszedł z nimi do restauracji, wypił alkohol, którego bardzo nie lubiłem. Ale musiałem wypić. Dobra. Okazuje się, efekt był żaden. Jeszcze wolniej pracowali. Przy czym ogólnie prace były rozmaite. Raz ludzie nie chcieli pracować, bo uważali, że za mało zarabiają. Druga rzecz była taka, że bardzo często nie dostarczano nam materiałów. albo dostarczano nam wadliwe materiały, których nie można było przyjąć do budowy. Jak dyrekcja zobaczyła, że podwyższenie nic nie daje, to odwrotnie, obniżyli pensję. Trzeba było to przyjąć, nie ma rady. Ale to nie dało wyniku. To wpadli na pomysł trzeci, będziemy wyrzucać ludzi z pracy. I tak zrobili. Była taka gazetka miejscowa „Stoczniowiec”, na którym było napisane, kogo danego dnia wywala się. Między innymi zwolnili i mnie. Pod hasłem, że jestem gburowaty pijak. Nie miałem ani jednego dnia opuszczonego, ani jednego. Gdybym miał na to dowody. Pijak nie byłem, bo mnie nikt nigdy nie widział pijącego czy w pracy, czy poza pracą. Więc... Gdybym proces wytoczył, możliwe, że bym wygrał, ale myślę sobie, z ubekami procesu nie wygram, to szkoda czasu na to. Pojechałem do rodziców, dowiedzieć się, co robić, wróciłem do Warszawy i myślę sobie, trzeba wziąć nowy nakaz pracy. Poszedłem, dali mi nowy nakaz pracy. Jak to się nazywało, Centralny Zarząd Ogólnego Budownictwa Maszynowego. Gdzie to było, poszedłem tam do tego i oni mi dali podnakaz do fabryczki, która mieściła się dwie stacje za pociągami, który szedł do granicy Rosji, potem trzeba było dwa kilometry od tego przejść piechotką do tej fabryczki i co oni tam robili? Mieli odlewnię żeliwa. Pewnie państwo nie wiedzą, jaka jest różnica między stalą a żeliwem. To wam powiem. Żeliwo jest materiałem kruchym, to jest łatwo się odlewa, łatwo się formuje, ale jest słabe. Natomiast stal jest materiałem, który można wyginać na różne sposoby, deformować, ale jest bardziej wrażliwe przy odlewaniu. Więc teraz oni mieli odlewnię żeliwa, gdzie odlewali pewne rzeczy, o czym później. Poza tym mieli kuźnię i mieli spawalnię. Tu na tej spawalni robotnicy się nacięli. Zaczęli wrzeszczeć, że mają mokre elektrody i nie mogą spawać. To ja przylazłem, a na spawalnictwie to ja się znałem. Wziąłem elektrodę, patrzę, spawa dobrze, ale na słaby prąd. Przyszedł dodać prądu. Oni mówią, że nie słyszą. To ja rzuciłem elektrodę, podkręciłem, pokazuję, widzicie, spawa się? Spawa się, to o co chodzi? Przegrali ze mną. Byli źli prawdopodobnie, bo liczyli na podwyżkę, a tu podwyżki nie było. Teraz dalej, zmusili mnie, żebym podpisał umowę na zastępcę szefa produkcji. Zastępcą szefa produkcji ja byłem. Co ja tam znałem się na produkcji, nie znałem się na tym. Wszczęłem rozmaite postępowania. Matka moja, która umiała załatwiać sprawy, została w to wplątana i były, znaczy nie były, emerytowany dyrektor kadr kolei znalazł dla mnie posadę. Przyszedłem do niego na wezwanie, powiedziałem, co umiem, czego nie umiem. „Chce pan pracować w Poznaniu czy w Warszawie?” Powiedziałem, że w Warszawie. Dlaczego? Dlatego, że byłem u adwokata koleżanki, który mi powiedział: „On musi pracować w dużym mieście, bo w małym mieście pana zgnoją” Duże miasto to Warszawa. Poszliśmy do dyrektora tego przedsiębiorstwa, on tam dłuższy czas siedział, gadał, wreszcie wychodzi. On i dyrektor, „Przyjmiemy pana do pracy”. Co ja miałem robić? Miałem projektować centralne ogrzewanie. Przypadkiem się na tym trochę znałem, bo słuchałem wykładów, pożyczili mi książkę tam na miejscu i byłem młody, i robiłem te projekty. A to było piekielnie nudne. Trzeba było obliczyć straty ciepła, dobrać potem do grzejników, rodzaj grzejników, piecy, jakie piece, gdzie piece. Czy parowe ogrzewanie, czy wodne ogrzewanie. Dużo różnych takich

rzeczy. Mi się to znudziło. Poszedłem szukać lepszej roboty. Kolega mój mi powiedział: „Słuchaj, jest Instytut Teorii Konstrukcji Maszyn, idź tam” Poszedłem tam, bardzo chętnie mnie chcieli przyjąć. Pozałatwiali, co trzeba, idę teraz załatwić do końca to, żeby pracować. Jest tam profesor, który był lepszym teoretykiem niż... Nie, był lepszym praktykiem niż teoretykiem, ale był wspaniałym teoretykiem i jeszcze lepszym praktykiem. Więc u niego miałem pracować. Ale on nie miał etatu. Nic z tego. Więc tam przechodziłem, robiłem różne rzeczy, uruchomiłem mu maszynę, która została okradziona, potrzebny był niewielki element elektryczny, a na elektryczności się już trochę znałem, więc powiedziałem mu, jak da mi sto czy ileś złotych, to ja mu kupię, będzie to działać. Nie mam pieniędzy, niech pan idzie po katedrach, może panu coś ofiarują. Chodziłem po katedrach, nie dostałem. Uruchomiłem mu maszynę. Zadowolony był bardzo, ale etatu mi dać nie mógł. Ale dał mi pracę na politechnice. On był od teorii konstrukcji maszyn. Więc to było szukanie środka ciężkości, jeszcze tam szukanie czegoś, trzy takie stopnie. Więc mnie oczywiście dali ten najmniejszy. Więc ja chodziłem do odpowiednich klas, dawałem studentom temat i pokazywałem, jak się szuka środka ciężkości. Raz się naciąłem, bo dałem temat i zapomniałem, jak się to rozwiązuje. Kurczę blade, przecież nie powiem im, że nie umiem tego rozwiązać. Chodziłem chyba z pół godziny po korytarzu, przypomniałem sobie [niezrozumiałe, 00:35:35] Dobra, teraz trzeba było prowadzić kolokwia. Więc ja prowadziłem kolokwia. Pokazywałem im różne rzeczy, jak, co i bardzo wielu z nich nie uczyło się porządnie, bo tam była taka rzecz, tam, gdzie te kondomy zakładałem, był aparat Orsata. To był aparat, który mierzył, ile dwutlenku węgla, ile tlenu, ile tam pieca, gdzie się paliło, zostało wypalone. I trzeba było wiedzieć, że nabierało się sto objętości i potem się to sto objętości wydmuchiwało. Ale nabierało się w taki sposób, że otwierało się kurek, spływała ta ciecz, jak dochodziło tak sto objętości, to trzeba było zamknąć, ale jak nie kurkiem, bo kurkiem nikt nie trafił. Trzeba było zająć rurę i pokazywałem im pięć razy, trzeba zagiąć rurę. Nie. Jak przychodzili do mnie na kolokwium, każdy kurek zamykał i nigdy mu się nie udało. Mówię: „Jak nie umiecie, to przyjdźcie jeszcze raz”, trudno. I co jest najdziwniejsze? Że elektrycy, którzy mieli obowiązek też tego się nauczyć, wszyscy robili dobrze. Wszyscy. Ani jeden nie robił źle. A moi mechanicy robili źle. Co ja na to poradzę. To są... Potem ja robiłem kolokwia oczywiście z tych środków ciężkości i jedna dziewczucha przyszła do mnie, ponieważ nie zdała, chciała mi swoje ciało ofiarować, żebym ją przepuścił, ale ja się nie zgodziłem. Musiała zdawać jeszcze raz. Nie ma rady. Żona mówiła: „Ulituj się”, bo ja jestem żonaty, o tym nie opowiadałem. Ulituj się nad nimi. Jak nie umieją, to potem przyjdzie do profesora. Powiem wam tylko tyle, że profesor, jak egzaminował, on postawił, była lista wyników egzaminu, potrafił napisać minus jeden jako wynik egzaminu. Minus jeden. Nie zero zero, tylko było minus jeden. To było coś. Tak że ja byłem w dość ciekawym towarzystwie. Tam potem zrobiłem wyznalezek, oni mieli... W głupi sposób robili badania. Obciążenia. Wiedziałem, że mi ucieknie słowo. [niezrozumiałe, 00:38:13] takiego latającego zwierza, który nie miał napędu. On był podciągany, wylatywał u góry i potem sobie sam krążył. I było dalej tam, zginanie tego naprężenia i głupio to robili, bo oni robili zginanie jednocześnie. Tego urządzenia, na którym to wisiało. To się też zginało, trzeba było obliczyć, ile to się zginało, niepotrzebnie. Jak powiedziałem, przymocować to inaczej, to się zegn timer na tym, to wyjdzie wam od razu w wynikach mierzenia. Nic nie będziecie mierzyć, macie gotowe. Więc odezwał się, uznał mój pomysł. I miałem dużo forsy. I teraz jeszcze była druga rzecz, gdzie miałem też plus duży. Mianowicie kierownik zakładu potrzebował tensometru mikronowego. [niezrozumiałe, 00:39:12] na jedną dziesiątą milimetra. Mogę wam pokazać, jak to wygląda. To jest taki zegar i jak się ten zegar wciśnie na dole, to ten zegar się obraca. Ile się obróci, to się odczytywało, i wiedziało się, ile ta stópka poszła w górę. Ale on chciał do mikrona. Udało mu się pożyczyć najpierw do mikrona, ale potem musiał oddać, więc chciał ode mnie, żebym coś wymyślił. Powiedział, że jestem wymyślny i wymyśliłem. Mało tego, że wymyśliłem, on to zrobił,

to, co ja wymyśliłem. Własnoręcznie. To na siebie duży plus. I tak można powiedzieć. Potem ja się uparłem, że chcę pracować w Instytucie Badań Jądrowych. Bo wiedziałem, że tam będę miał ciekawą pracę. Gdzie tam na politechnice uczyć głupoli, którym się nie chce uczyć. Więc żeby się tam dostać, trzeba było pójść tam do kadr, poszedłem, złożyłem dokumenty, mówi mi ten, on był krajan mój, też Poznaniak, „Niech pan przyjdzie za tydzień”. Przychodzę za tydzień, on mi mówi: „Proszę pana, UB się na pana nie zgadza. Nie mogę pana zatrudnić”. Więc ja zacząłem robić podchody rozmaite, bo tam była taka sytuacja. Myśmy kupili reaktor radziecki. On dobrze pracował. Nie widzę żadnych zastrzeżeń do tego, ale na dyrektora tego wzięto człowieka, który się znał na zbiornikach. Bo reaktor atomowy to jest ogromny zbiornik wodny. I na dyrektora dano człowieka, który się zna na zbiornikach, przede wszystkim wodnych, ale nie wiedział, co się tam w środku dzieje. Naszym to wydawało się podejrzane, że on za dużo wie. Poprosili Francuzów, żeby sprawdzili, co on umie. Francuzi przyszli i powiedzieli: „Po coście takiego głupka przyjęli do pracy? Przecież on pojęcia nie ma o tym, co tam jest”. To nasi przyjęli do pracy profesora, nie pamiętam, czy Sołtana, czy tego drugiego, który naprawdę znał się na fizyce jądrowej. I on prowadził ten reaktor, ale była taka sytuacja. Była mowa, że przyjadą Francuzi do niego i będzie zebranie. Francuzi w krokodylu siedzieli już, a on był [niezrozumiałe, 00:41:47] Ośrodek był w Świerku. To śmiesznie brzmiało, gdzie jest profesor taki a taki? Na Świerku. No, bo on na tym świerku siedział. On jechał teraz szybko, ale po drodze zatrzymała go policja. Zaczęli, a to światło, a to to, a to tamto. Ale kierowca był [niezrozumiałe, 00:42:07] pyta się, o co chodzi. Początku jeszcze nie było. To znaczy nic nie zarobili. No, więc on im wytłumaczył, że oni jadą tam na zebranie, puścili go, on przyjechał, usiadł i tam Francuzi przemawiali, potem on miał przemówić, stał i zaczął przemawiać, uderzył głową w stół i był martwy. Taki przypadek był. Potem dali drugiego, też bardzo dobrego fizyka i też, chyba ten nie był hrabią, ale tam... Więc teraz, jeśli chodzi o moją sytuację, to ponieważ ten był hrabią, matka знаła jakiegoś hrabiego, hrabiowie się dogadali między sobą i ja przyjechałem do niego, do tego dyrektora, on chciał coś wiedzieć o mnie. Co ja umiem, czego nie umiem, co wiem, czego nie wiem. Więc siadłem tam u niego i zaczynam mu sprawę zdawać. Jemu się to podobało, wezwał babę z kadr, ta przyszła, ja jej dałem wszystkie moje dokumenty i ona poszła mnie przyjmować. Dzwoni za jakiś czas, że UB się na mnie nie zgadza, ale dyrektor powiedział: „Ale ja się zgadzam”. Poszedł zatrudnić. I zatrudnili mnie. Musiałem piekielnie uważać, żeby nie wpaść. Przepracowałem ponad sześć lat tam. Dali mi bardzo trudne zadanie do wykonania, Zbudowanie takiego fast choppera. To było urządzenie, które musiało mieć co najmniej 10-15 tysięcy obrotów na minutę. To wewnątrz były jakieś takie tarcze. Nie będę szczegółów opowiadał. W każdym razie miałem kłopot jeden, że to urządzenie powodowało, że ten dysk, który wisiał na trzy milimetrowym drucie, tańczył. Precesję miał. Z tą precesją walczyłem dwa lata. Nie było profesora, który by mógł doradzić. Potem się okazało, że ta precesja jest na średnich obrotach, za wysokiej nie ma i na niskich też nie ma. Ale trzeba było oleju dolać, żeby tu były te ruchy precesyjne. Nie wiedziałem, co zrobić. Kolega mi podpowiedział: „Założ wąż i na początku, kiedy ma nie być oleju, odkręć kurek, niech ten olej spłynie. A potem nam będzie potrzebna duża ilość oleju, to podniesiesz zbiornik w górę i to przeleje się jedno w drugie, i będziesz miał olej”. Więc zrobiłem tak i po dwóch ponad latach uruchomiłem ten fast chopper. Ale świat jest złośliwy. To było tak potrzebne, znajomość zachowania się wszystkich pierwiastków pod wpływem neutronów, że cały świat zaczął to [niezrozumiałe, 00:44:59], I oni robili różnymi metodami elektronicznymi, takimi jak ja, jak amerykanie zbudowali, Francuzi mieli takie. I jak ja skończyłem, okazuje się, że świat przebadał wszystkie pierwiastki. Moje urządzenie nie ma zastosowania, bo nie ma co robić. No, tak jest. Co ja mam robić? Ale świat jest dziwny. Przyszło do mnie tego dnia dwóch ludzi, których ja nie znałem właściwie, którzy pracowali nad zagadnieniami związanymi nie z częściami, drobnymi cząsteczkami, tylko nad całymi reaktora-

rami i oni musieli tam wiedzieć pewne parametry i musieli te parametry przebadac. I nie mieli do tego urzqdzienia. Wiqec poprosili mnie, czy oni by nie mogli na moim urzqdzieniu zrobic pr6by. I ja, widzac, ze to jest ostatecznořć dla mnie, pozwolilem im. Zrobilem bardzo duzo, dalem im pozwolenie, zeby otwierali kanał, gdzie tylko uzytkownik ma prawo i jeszcze tam jakies inne pozwolenie, i jak maja obslugiwac tę maszynę. Rano dzwoni do mnie ten kolega, który [nierozumiqle, 00:46:19] „Wiesz co, Andrzej, to jest świetne. My byřmy to chcieli mieć”. Wzywa mnie kierownik zakładu i do mnie na mordę, jak ja mogłem pozwolić, zeby ci dwaj tam pracowali. Przecieř tak nie można było zrobic, oni będą to chcieli. Poszli, spotkali się ci koledzy, tamci, którzy uzytkowali to. z moim kierownikiem zakładu. Skończyło się na tym, ze kierownik zakładu sprzedal mnie tamtym, razem z etatem, ze wszystkim, i z aparaturą. Miałem teraz co robic na tym urzqdzieniu. Oni dopisywali mnie do publikacji, chociař nie mieli prawa, bo ja nie mam pojęcia, co oni robią w og6le. Ale jakoř to szło. Potem zaczęły się przechery. Jeden z fizyków moich doszedł do wniosku, czy oni prawidłowo obliczają te wyniki. Poszedł do innej grupy, gdzie pracował bardzo zdolny fizyczek i ten powiedzial: „Wy to źle liczycie”. To trzeba inaczej liczyć”. Myřmy mieli kom6rkę matematyczną, to nasi poszli do tej kom6rki, a ta kom6rka powiedziala: „A my nie wiemy, jak to trzeba liczyć”. Zdechł pies. Wiqec kierownik zakładu powiedzial: „Jeřeli publikacje są, nie grzebać w tym, dawać publikację, dalej mnie nie obchodzi. R6bcie, co chcecie”. Ale ten, który powiedzial, ze jest źle obliczana, zapamiętal to sobie. I teraz okazalo się nagle, ze zabrali wicedyrektora ořrodku tego, no, słowa mi ucieka Ořrodku reaktorowego. Wicedyrektora. I on miał pojechać do Austrii, i tam co parę lat wymieniano [nierozumiqle, 00:48:25] na jakichř tam innych, wiqec jego z tych demoludów wzięli i miał dostac tam posadę, i pracować. Teraz kogoř trzeba było na jego miejsce dac. I dali tego Źyda. A ten powiedzial tak: „Wy źle pracujecie” Zamknął tematykę, koniec. Juř był bezdomny. To się nie dalo odkręcić, a tymczasem na Źeraniu, gdzie był teř ořrodek, mieli kłopoty. Ot6ř kierownik zakładu wymyřlił, ze można oddzielac zwiqzki Uranu, w azotanie uranylu od zwiqzków wodnych. I to za pomocą wir6wki. Wiqec puřcił to na wir6wce, rzeczywicie tak było. Z wir6wki wylatywały ciecze, które uderzały w naczynka i powodowały, ze to się rozbijało w postaci pyłu i mgły, i ta mgła siadalą na ścianach, na meblach, na podłodze, na wszystkim. Przyszli z celonu zbadać, stwierdzili, ze jest duře skařenie i zakazali pracować. Wiqec mam coř wymyřlec na to. Wymyřliłem, to jest inna sprawa, bardzo prosta. Kierownikowi zakładu się nie podobalo, ze to nie on wymyřlił, tylko ja. I teraz zaczęły się przechery. Ot6ř komitet centralny stwierdził, ze ilořć pracowników zatrudnionych w poszczeg6lnych firmach jest za duřa, wiqec nie przerobili, tylko... Nie przepracowali, jakoř tak nazwane było. I ja stwierdziłem to teř, bo pojechałem do řwierku coř załatwić i nie wiedziałem, gdzie to jest, zapukałem, otwieram drzwi, a tu siedzi czterech koleg6w i grają w brydża w godzinach pracy. Co wiqec potrzebam? Wszystko juř wiem. I teraz kogo zwolnić. Dw6ch partyjnych, tych nie można ruszyć. Był jeden człowiek, którego żona była sekretarką ministra, a on bardzo dobrą pracę robił. Teř nie wypadalo go ruszac. Zostałem ja. A ja miałem ten feler, ze ja byłem ławnikiem, a w przepisach jest napisane, ze ławnika nie wolno zwolnić bez jego zgody, wiqec oni podchodzili na r6żne strony, zeby ja wyrazil zgodę i odszedł. Tymczasem dzwoni do mnie kolega: „Słuchaj, przyjdź do nas, jest wolne miejsce”, a tam była praca dla mechanika. Akurat dla mnie. Tam pracował kolega, który dostal gruźlicę i wyglądal na to, ze wykituje. Wiqec ja po dłuřszych dywagacjach zgodziłem się, przyjąłem tę pracę. Powiedziałem, ze będzie tu praca głupia, bo ja pracowałem u tych chemików. Tam dwa wynalazki zrobilem, a potem dawano mnie i jeden z nich nadawal się do przemysłowego zastosowania. Długo szukałem amatora na to. W końcu napisalem, w gazecie to opublikowałem. W telewizji było i znalazł się człowiek, który powiedzial, ze ja wiem, jak to wykorzystac. Dobrze. Oni zrobili taką rzecz, ze przerobili mój projekt, moje rozwiqzanie, ale ja nie protestowałem. Oni dali jako tego najwařniejszego. Sztuka polegała teraz na tym, jak nam6wić innych

w przedsiębiorstwach, żeby to zastosowali. Więc ten mój rozmówca wiedział, on szedł do dyrektora przedsiębiorstwa, mówił do niego tak: „Słuchaj, kochanie, są pieniądze do wzięcia”. „Tak? A jak?” „A wiesz co, musisz wyrazić, że ty dopomogłeś zastosowaniu patentu. Wtedy przyjdą pieniądze na to, więc dostaniesz pieniądze, ale musisz się podzielić ze swoim zastępcą i z głównym księgowym, bo inaczej cię zjedzą”. To on się dzielił. Ja musiałem podpisywać, że oni pomogli. Ten, który to wymyślił, bał się, a ja się nie bałem, bo oni rzeczywiście pomogli, bo gdyby oni nie dali pieniędzy, to by nic nie było. Więc się nie bałem, podpisywałem, spokojnie chowałem do szafy, nie paliłem tego. Dostałem 220 tysięcy, drugi raz jeszcze coś tam i w ten sposób patent się opłacił. Potem się zdarzyło tak, że przyszedłem do kierownika zakładu nowego, coś chciałem od niego. Rozmawiam z nim, okazuje się, że on rozmawiał z dyrektorami instytutu. Ten dyrektor instytutu jak się dowiedział, że ma mnie blisko na słuchawce, kazał dać, połączyć i mówi do mnie tak: „Proszę pana, on musi iść na emeryturę”, bo nie mam kogo zwolnić. Pan będzie przynajmniej miał z czego żyć. Z tej emerytury pan sobie jakoś tam wyrobi”. Ja się broniłem rękami i nogami, ale nie było wyjścia, musiałem pójść. Jeszcze były inne przechery, ja miałem 25 tysięcy godzin niewziętego urlopu. Byli gotowi mi to zapłacić. Zapłacili mi to. Kupiłem za to telewizor i magnetowid. I zostałem emerytem. Wtedy się okazało, że to, co ja dostałem na emeryturze, z nędznymi groszami. Żona pyta, z czego będziemy żyli. A ja miałem pracownika w zakładzie, którego matka była Żydówką, a ojciec Aryjczykiem, więc ci Żydzi przychodzili do niego i on się od nich dowiedział, jak się oblicza emeryturę. To ja dawaj, skserowałem sobie to i zacząłem obliczać. Jak obliczyłem tę emeryturę, dałem to do ZUS-u, to się okazało, że ja mam o 220 złotych więcej niż ona. To czego jęczysz, mało ci? To było dosyć. No i dobra, i na tym wygrałem tę sprawę. To tak wyglądało mniej więcej moje życie. Tak że widzieliście, że miałem różne historie. Raz wygrywałem, raz przegrywałem, ale coś się zrobiło. W każdym razie to, co ja zrobiłem, to urządzenie zostało... Znaczący ja dostałem na to pieniądze z ministerstwa od naukowców, ale na końcu zdechł pies. Tak że w tej chwili jestem emerytem i nic nie robię, bo ja czytać nie mogę ani pisać nie mogę. Mam tak zwaną żółtą plamkę zaatakowaną i na to nie ma leku na całym świecie. Nawet najbogatsi ludzie nie mogą sobie z tym poradzić. To mniej więcej co ciekawszego, wam opowiedziałem.

Tomasz Sikorski: Dziękujemy pięknie. Będziemy mieli trochę pytań.

Głos: Dobrze, ja z początku chciałabym zapytać o pewne daty.

Andrzej Graffstein: O co?

Głos: O daty. Kiedy pan zaczął studia, kiedy uzyskał tytuł tego magistra inżyniera i kiedy rozpoczął pracę w tym Instytucie Badań Jądrowych?

Andrzej Graffstein: – Więc tak...

Głos: Jeśli pan pamięta.

Andrzej Graffstein: Zaraz będziemy próbowali coś tam odtworzyć. Pierwsze pytanie jest, kiedy zacząłem...

Głos: Studia.

Tomasz Sikorski: – Kiedy pan poszedł na studia?

Andrzej Graffstein: To się da odtworzyć, bo to był pięćdziesiąty... 1950 rok mniej więcej.

Tomasz Sikorski: To była Politechnika Warszawska?

Andrzej Graffstein: Nie, to była Politechnika Gdańska. Warszawska nie była jeszcze czynna wtedy.

Tomasz Sikorski: I jaki wydział?

Andrzej Graffstein: Wydział mechaniczny.

Głos: A tytuł tego inżyniera magistra, który to był rok?

Andrzej Graffstein: Możemy dokładnie sprawdzić, bo to tutaj leży.

Głos: Aha, no dobrze. To...

Tomasz Sikorski: Pierwsza praca po studiach?

Andrzej Graffstein: Pierwsza praca po studiach to chyba była, niech ja sobie przypomnę. Chyba w tej fabryczce.

Tomasz Sikorski: Bo odlewnia była druga.

Głos: A nie ten instytut termodynamiczny? Tam mówił pan, że był asystentem.

Tomasz Sikorski: Tak, rzeczywiście tam miałem pracę. Tam mi dali pracę w tym instytucie, ale który to był rok, to byście mnie zabili, sobie nie przypomnę.

Głos: Ale to zaraz po studiach, tak?

Andrzej Graffstein: Nie. Ja wtedy byłem na studiach.

Głos: Czyli jeszcze na studiach, dobrze.

Andrzej Graffstein: Jeszcze na studiach, tak.

Tomasz Sikorski: A potem była odlewnia?

Andrzej Graffstein: Nie, odlewnia to nie było. Sztandarowym obiektem nie była odlewnia. Wyniki odlewania mogę pani powiedzieć, czasem tak. Ale oni głównie pracowali na spawarkach. Główne roboty były spawarki. Tam mieli jeszcze jakąś jedną tokarkę, jedną frezarkę chyba mieli, ale to były szczątkowe maszyny i nieużywane. Nie mieli pojęcia, dlaczego się to używa. Więc ja pamiętam, że jak dostałem tę pracę, tę pierwszą pracę, to to była Środa, Wielka Środa, ale która Wielka Środa, to tego nie powiem. Tam mi się udało dostać pracę i zapamiętałem, co dokładnie, że to była Wielka Środa. Ten, który mnie przyjmował, był głupawy, nie miał prawa mnie przyjąć, ale podniecił się, że to magister inżynier do niego przyszedł i dał mi pracę. Była taka sytuacja, po jednej stronie było napisane, że to jest Centralny Zarząd Ogólnego Budownictwa Maszynowego, a po drugiej stronie tej samej kartki było napisane Ostrówek Węgrowski. Więc ja nie pokazywałem tego drugiego i tam udało się to przemycić.

Tomasz Sikorski: Był jeszcze instytut maszyn.

Andrzej Graffstein: Teorii maszyn.

Tomasz Sikorski: To było też przy politechnice.

Andrzej Graffstein: Nie, to było przy Polskiej Akademii Nauk.

Głos: Czyli stocznia jeszcze.

Tomasz Sikorski: A bo był pan nauczycielem akademickim, był pan adiunktem czy... Bo tam, jak pan studentów uczył, opowiadał pan.

Andrzej Graffstein: Ja bardzo niski stopień miałem.

Tomasz Sikorski: Ale to było na Politechnice Warszawskiej?

Andrzej Graffstein: Warszawskiej, tak.

Tomasz Sikorski: To pewnie albo adiunktem, albo asystent.

Andrzej Graffstein: Pewnie asystent tylko.

Tomasz Sikorski: I to było na wydziale...

Andrzej Graffstein: Mechanicznym.

Tomasz Sikorski: I potem był Instytut Badań Jądrowych?

Andrzej Graffstein: Niech ja pomyślę. Chyba potem.

Tomasz Sikorski: W którym roku orientacyjnie pan zaczął w instytucie?

Andrzej Graffstein: O, ho, ho.

Tomasz Sikorski: Około

Andrzej Graffstein: Patrząc... Próbuje ocenić tak, praca na Politechnice, z Politechniki poszedłem tam. Trudno ocenić, trudno...

Tomasz Sikorski: Okej. A mam jeszcze jedno pytanie, bo może mi tutaj coś uciekło, ale dwa czy trzy razy pan mówił, że były kłopoty przy dostawaniu lepszej pracy z ubecją.

Andrzej Graffstein: Przed czym były lepsze?

Tomasz Sikorski: Że miał pan kłopoty, że UB utrudniało dostawać lepszą pracę.

Andrzej Graffstein: Aha.

Tomasz Sikorski: Czym się głównie pan naraził ubecji?

Andrzej Graffstein: Proszę pana, bardzo prosto. Ja po prostu chodziłem na... Nie konsultacje akademickie, tylko katolickie jakieś takie. Uczęszczałem na spotkania duszpasterstwa akademickiego. Co niedzielę. I tam był jeden człowiek, który donosił. A na wytłumaczenie tego powiem tak, on zaczął szpiegować dla Anglików. W czasie wojny. Niemcy go nakryli, powiedzieli: „Albo będziesz szpiegował dla nas, albo po dwóch tygodniach ciebie nie ma”. On się zgodził. Szpiegował dla Niemców. Co zostało zapisane, przyszli nasi, znaleźli notatkę tę i powiedzieli mu: „Albo będziesz szpiegował dla nas, albo po dwóch tygodniach cię nie ma”. On się zgodził szpiegować dla naszego UB i naszych tych kręgów. I donosił. Szczególnie się wziął na mnie, nie wiem dlaczego. Napisał, że ja chodziłem na przykład na obiady do szwedzkiej ambasady, a nawet nie wiedziałem, czy szwedzka ambasada była. Trudno mi było dochodzić na obiady. Potem nie chciałem dać pieniędzy dla dzieci koreańskich. Podobno dzieci polskie to dano, a na koreańskie to nie, bo po co. Po co nam Koreańczycy. No, pan sobie nie wyobraża, co mnie kosztowało odbudowanie tego urządzenia. Przede wszystkim pierwsze pytanie: Z czego?

Tomasz Sikorski: A jeszcze raz, jak dokładnie to urządzenie się nazywało?

Andrzej Graffstein: Fast chopper. Fast, czyli prędkie chopper. Prędkie przerywacz. „Chopper” się pisze. Pan chce

bliższych szczegółów, to możemy sięgnąć do mojego doktoratu.

Tomasz Sikorski: A podstawowa funkcja jego?

Andrzej Graffstein: Podstawowa jego funkcja, wytwarzanie bardzo krótkich błysków, neutronów. Ja tu mam w szufladzie moją pracę doktorską, jeśli chce pan przejrzeć, to jest do obejrzenia.

Tomasz Sikorski: Czyli to był doktorat z fizyki.

Andrzej Graffstein: Proszę pana, to była najtrudniejsza sprawa dla moich fizyków, bo oni mieli z czego mi dać doktoratu. Ja nie jestem fizykiem i nie umiem fizyki. Próbowali z mechaniki. Jeden w tej komisji, który był mechanik, zaczepił mnie o procesy zmęczeniowe. Ja bym z niego zrobił proszek do zębów, bo ja się na tym bardzo dobrze znałem. Strzeliłem mu i przestał się pytać. Zorientował się, że trafił.

Tomasz Sikorski: Proszę, proszę.

Andrzej Graffstein: Oni nie mieli mnie z czego pytać, bo ja fizyki nie umiałem, a mechaniki oni nie umieli. Ale ja postawiłem sprawę w ten sposób, podszedłem do kierownika zakładu i mówię: „Panie kierowniku, ja już tu u was dziesięć lat pracuję. Nie czas by było, żebym doktorat zrobił?” A on mi mówi: „A z czego?” „A z czego można zrobić?” „Nie, to jest za mało”. „Dobra”, to pokazali mi rysunek tego i tam były takie fikołki zrobione, których nikt nie wymyślił, a ja wymyśliłem. A jak to, to wystarczy. Zrobiłem doktorat.

Tomasz Sikorski: Ale w... Bo przy doktoracie zawsze jest określone.

Andrzej Graffstein: Co jest?

Tomasz Sikorski: Jest określenie zakresu, czyli doktor nauk matematycznych, humanistycznych, społecznych.

Andrzej Graffstein: Tak.

Tomasz Sikorski: Czyli pan ma w jakim obszarze?

Andrzej Graffstein: Mnie nic nie napisali, bo nie wiedzieli, co napisać.

Tomasz Sikorski: Okej.

Andrzej Graffstein: Po prostu nie wiedzieli, bo ani mechanicznych, mówię, z mechanicznych rzeczy mało pytali. Ani z fizyki, bo też mnie mało pytali, bo wiedzieli, że ja za dużo nie wiem.